

Ryszard Tadeusiewicz

Uczelniane wspólnoty

WYKŁAD DOKTORA HONORIS CAUSA

Zanim przystąpię do prezentacji tezy, jakie przygotowałem do wykładu o wyżej podanym tytule, mam obowiązek (a także przywilej) złożenia podziękowań wszystkim Tym Osobom i Instytucjom, które przyczyniły się do tego, że mam możliwość wygłosić ten wykład jako nowy Doktor Honoris Causa Uniwersytetu Zielonogórskiego. Dziękuję wnioskującej o ten zaszczytny tytuł Radzie Wydziału, dziękuję Jego Magnificencji Rektorowi, który ten wniosek przyjął, dziękuję życzliwemu mojej osobie Senatowi Uniwersytetu Zielonogórskiego, który zechciał ten wniosek poprzeć, dziękuję Senatowi Politechnik Warszawskiej i Śląskiej, które pozytywnie wnioski zaopiniowały, no i na koniec dziękuję tym wszystkim Pracownikom UZ, którzy pracowali przy organizacji i przygotowaniu dzisiejszej uroczystości. Nie wymieniam tu nazwisk tych wszystkich życzliwych mi ludzi, którym zawdzięczam dzisiejszą godność, ale chcę im bardzo serdecznie podziękować!

Po raz pierwszy mam zaszczyt i przyjemność wystąpić z wykładem przed Senatem nowoczesnego Uniwersytetu, łączącego w swej działalności zarówno wątki dotyczące techniki oraz bliskich mi nauk ścisłych, ale obejmującego swym działaniem także obszary dydaktyczne i badawcze w zakresie nauk humanistycznych, jak również twórczości artystycznej. Mając to na względzie musiałem wyrzec się pokusy opowiedzenia w moim wykładzie głównie o tym, co stanowi przedmiot moich badań naukowych na gruncie nowoczesnej techniki komputerowej, bo to przynajmniej dla części Auditorium mogłoby być mało ciekawe. Postanowiłem przedstawić Państwu wyniki moich przemyśleń związanych z **uczelnia jako miejscem budowania wspólnoty**. Myślę, że to, co powiem, będzie raczej kolekcją pytań oraz pewnych postulatów niż bardzo zwartym, spójnym, konsekwentnym referatem, ukierunkowanym na z góry zdefiniowane, „jedynie słuszne” wnioski. Ale uważałem, że warto porozmawiać o uczelnianych wspólnotach (jak się Państwo wkrótce przekonacie, ta liczba mnoga nie jest przypadkowa!) właśnie tutaj, w Uniwersytecie mającym na swym koncie bogaty dorobek wszystkich swoich elementów składowych, ale budującym na nowo, w nowej strukturze, nową wspólnotę akademicką.

Zacznę od pozornego truizmu: pozycja, rola i znaczenie Waszej uczelni wyższej są niekwestionowalne. Wszyscy wiemy, jak istotną rolę w Polsce początku XXI wieku odgrywają uniwersytety. To one kształcą przyszłą inteligencję, prowadzą badania naukowe, a także mają liczne obowiązki związane z tym, co zwykle się nazywa pracą na rzecz społeczeństwa, a w szczególności służbą na rzecz społeczności lokalnej. Każda uczelnia takie trzy funkcje pełni i na podstawie tego, czy pełni je lepiej, czy gorzej – cieszy się lepszą albo gorszą opinią. Jako osobnik nowo przyjęty do społeczności Uniwersytetu Zielonogórskiego z dumą podkreślam, że **nasz wspólny Uniwersytet** cieszy się bardzo dobrą opinią!

Natomiast tym elementem, który często znika z pola widzenia obserwatorów jest właśnie rozważana w tym referacie rola uniwersytetu jako miejsca budowania specyficznej wspólnoty. Fakt ten na co dzień w niewielkim tylko stopniu zaprzęta uwagę zarówno nauczających, jak i uczących się. Fakt ten z reguły nie interesuje także tych, którzy obserwują uniwersytet z zewnątrz

i w jakiś sposób starają się wpływać na jego funkcjonowanie (mam na myśli między innymi polityków, chociaż nie wyłącznie). Tymczasem każdy uniwersytet **jest** pewną ważną i złożoną wspólnotą, a nawet kolekcją silnie zróżnicowanych wspólnot, wzajemnie przenikających się i wzajemnie się wspomagających. Jest tu wspólnota profesorów i wspólnota studentów, wspólnota specjalistów nauk ścisłych i wspólnota nauk humanistycznych, wspólnota badaczy zjawisk podstawowych oraz wspólnota empirystów ukierunkowujących swe wysiłki dla rozwiązywania problemów praktycznych. Ta wspólnota wspólnot, jaka tworzy się i rozwija wewnątrz uniwersytetu jest ważna, gdyż jej harmonijne funkcjonowanie bardzo silnie wpływa na skuteczność osiągania podstawowych celów, jakie społeczeństwo stawia uniwersytetowi.

Jako człowiek od z górą siedmiu lat zarządzający dużym uniwersytetem (choć łatwiejszym niż Wasz, bo prawie wyłącznie technicznym) mogę powiedzieć z własnego doświadczenia, że ta wspólnota akademicka nie tworzy się sama z siebie. To nie jest proces spontaniczny. Co więcej, trzeba sporego świadomego wysiłku, by dynamicznie zmienny i wciąż intelektualnie rozedrgany uniwersytet stał się jedną integralną wspólnotą.

Chcę jednak równocześnie podkreślić, że według mojej opinii o tę integrację uniwersytetu warto zabiegać, a w razie potrzeby nawet walczyć. Powiem więcej – **trzeba** o nią walczyć, dlatego, że jest to wartość, która jest trudno wymierna na jakiegokolwiek inne efekty.

Korzyści, jakie wynikają z tworzenia i harmonizowania wspólnoty akademickiej można podzielić na korzyści zewnętrzne i na korzyści wewnętrzne. Omówię je teraz w dużym skrócie, zachęcając Słuchaczy i Czytelników, by podjęli wysiłek poszerzenia i wzbogacenia moich koncepcji własnymi, dodatkowymi przemyśleniami.

W dzisiejszych czasach rola wykształcenia, w szczególności wykształcenia technicznego, medycznego, prawniczego czy jakiegokolwiek innego, ukierunkowanego na formowanie ludzi jakiejś z góry określonej profesji, bywa bardzo często redukowana i sprowadzana do nabywania kwalifikacji do wykonywania zawodu. W tym kontekście pojawia się pokusa, by patrzeć na uniwersytet jako na „wytwórnię”, w której „produktem” są absolwenci. Owi absolwenci mają być specjalistami w pewnej dziedzinie, bo mają zaspokajać pewne potrzeby – na przykład przemysłu, służby zdrowia, palestry. Przyjmując tę optykę powinno się stosować w uniwersytecie odpowiednie strategie sterowania. Skoro kształcenie ma być produkcją specjalistów, w której, jak to zwykle bywa przy produkcji, winno się optymalizować wszystkie parametry, takie jak np.: wydajność, a więc liczbę wypromowanych absolwentów, koszty tej produkcji, odsetek „wybrakowanych” produktów itd. Gdy tu i teraz mówię o tym, to brzmi to paradoksalnie, wręcz groteskowo, ale jeśli się spojrzy na tak zwaną „politykę edukacyjną państwa”, to można natychmiast stwierdzić, że wiele z wymienionych wyżej kryteriów, a także innych parametrów „wydajności i jakości kształcenia” próbuje się w Polsce mechanicznie i biurokratycznie zastosować do sfery szkolnictwa wyższego, gwałcąc swobody akademickie, ograniczając autonomię uczelni, zniewalając ekonomicznie i administracyjnie władze uniwersytetu i jego pracowników.

Jest to moim zdaniem dramatyczne nieporozumienie. Absolutnie nie można patrzeć na uczelnię wyższą wyłącznie jako na miejsce, czy też zbiorowość, w której nabywa się kwalifikacji. Oczywiście przy okazji kształcenia akademickiego młodzież nabywa również kwalifikacji potrzebnych do wykonywania określonego zawodu. Nie można jednak roli uniwersytetu **redukować** do tej

jednej funkcji! Trzeba mieć świadomość, że tak naprawdę na uniwersytetach wykuwa się przyszłość narodu, bowiem ci, których kształcimy, będą mieli do spełnienia przynajmniej dwa zadania: profesjonalne, związane z wyuczonym zawodem, ale także społeczne, związane z uzyskanym statusem inteligenta. Nauczyciele, inżynierowie, lekarze, prawnicy itd. – słowem ci wszyscy, którzy kończą uniwersytety, udają się potem do tych swoich lokalnych społeczności, gdzie cieszą się (na ogół...) pewnym autorytetem, będącym następstwem ich wykształcenia. Inteligenci pełnią w swoich środowiskach różne role, wśród których wcale nie poślednia jest ta rola, że funkcjonując wśród swoich sąsiadów lub współpracowników – budują miejscowe wspólnoty. Nikt nie może zaprzeczyć, niezależnie od tego, jak bardzo demokratyczne (czy nawet ludofilskie) poglądy wyznaje, że to właśnie młodzi inteligenci zwykle są tą siłą, która inicjuje nowe procesy społeczne i polityczne. Wobec tego to absolwenci naszych uniwersytetów będą „drożdżami”, na których wyrastać będzie przyszłość Polski, a zatem to, jak my ich uformujemy; podkreślam: nie **wykształcimy**, ale **uformujemy** – ma ogromne znaczenie dla całego kraju i dla naszej wspólnej przyszłości.

Samym tylko przekazywaniem wiedzy nie stworzymy dojrzałych i mądrych ludzi, będących trzonem przyszłej polskiej inteligencji. Społeczeństwu polskiemu, gnębionemu kryzysem erozji autorytetów oraz nękanym postępującą dezintegracją i atomizacją więzów międzyludzkich – rodzinnych, sąsiedzkich, zawodowych – **potrzebni** są ludzie, którzy będą nośnikami i propagatorami wartości, jakie niesie wspólnota. Jeśli uda nam się zbudować dobre wzory wspólnoty na naszych uczelniach, to zostaną one wchłonięte przez naszych studentów. A z kolei to, czym „nasiąkną” studenci na uniwersytetach, będzie potem rzutowało na ich stosunek do pojęcia wspólnoty. Tylko w ten sposób można wpłynąć na pro-społeczne postawy młodej polskiej inteligencji i na jej stosunek do wartości niesionych przez wspólnotę. Tego się nie da nauczać teoretycznie ani zalecać drogą nakazową. Aby wychować się do działania we wspólnocie, aby docenić jej wartość, aby stać się jej propagatorem – trzeba się najpierw we wspólnocie zanurzyć. Jeśli zachęcimy naszych studentów do tego, by szukali wspólnoty i by ją aktywnie tworzyli, to wytworzymy w nich pozytywne nastawienie, które zabiorą ze sobą, gdy już opuszczą mury uczelni.

Ja wiem – niejeden ze słuchaczy zachnie się w tym momencie, widząc, że wywód ten nieuchronnie prowadzi do sformułowania następnych zadań i następnych wymagań, jakie adresują do nauczycieli akademickich. Tymczasem i tak przecież wszyscy czujemy się przemęczeni, i tak spoczywa na nas tak wiele obowiązków, i tak czasem doby nie starcza, żeby pogodzić konieczność prowadzenia badań naukowych (niezbędnych dla akademickiego awansu), odbywania zajęć ze studentami (wymaganych w związku z pensum), no i spełniania naszych obowiązków w rodzinach, które też mają prawo do określonej ilości naszego deficytowego czasu. A tu nagle jeszcze postulat tworzenia wspólnoty, wychowywania studentów, świecenia przykładem... Kto ma na to czas i siły?!

To prawda, że jesteśmy często przepracowani, że nasz trud nie zawsze jest doceniany i często nie jest właściwie wynagradzany, że miewamy wszystkiego dosyć... Ale musimy w sobie znaleźć siły, żeby sprostać także i tym obowiązkom, jakie wynikają z omówienia zawartego w tym artykule. To jest kwestia poczucia odpowiedzialności: tylko my, na naszych uczelniach, możemy wpływać na to, jaka ostatecznie będzie ta przyszła pol-

ska inteligencja, bo to nam powierzono jej formowanie. Czyniąc to musimy pamiętać, że formując wykształcone jednostki mamy w istocie wpływ na wzorce zachowań bardzo dużych grup społecznych, bo w ślad za funkcjonowaniem inteligencji podążać będzie całe społeczeństwo. Cokolwiek by nie mówić na temat upadku czy erozji autorytetów, to faktem jest, że w społeczeństwie wciąż **jest** uznawana wartość wyższego wykształcenia. Mimo dominacji wzorców hedonistycznych i mimo nasilającego się kultu medialnej popularności oraz pieniądza – wartość tytułów zawodowych związanych z wyższym wykształceniem, takich jak tytułu lekarza, tytułu inżyniera czy prawnika wciąż w społeczeństwie jest wysoka. Mimo destruktywnej działalności niektórych środków masowego przekazu, nie zdołaliśmy jeszcze na szczęście do końca zdeprecjonować tych wartości i mam nadzieję, że do takiej deprecjacji walorów intelektualnych nie dojdzie, chociaż zasada, że nie ma nic świętego, coraz częściej owocuje niewybrednymi atakami medialnymi także i na intelektualistów oraz na uniwersytety.

Jednak naprawdę nie jest źle. Sondáže pokazują, że profesor uniwersytetu cieszy się nadal najwyższym zaufaniem społecznym, a osoby wykonujące zawody wymagające wysokich kwalifikacji i wysokich zdolności wciąż jeszcze stanowią dla wielu ludzi wzorzec godny naśladowania. To cieszy, ale jednocześnie właśnie to nakłada konkretny i ważny obowiązek na wszystkich tych, którzy w sposób świadomy i odpowiedzialny traktują swoją pracę na wyższych uczelniach. Powinniśmy więc traktować kształcenie studentów jako pewną misję, a nie tylko jako wykonywanie zawodu, a z tego wynika dla nas specjalny obowiązek. Chodzi o obowiązek takiego formowania naszych dzisiejszych studentów, czyli przyszłych członków polskiej inteligencji, żeby oni nie tylko mieli odpowiednio nowoczesną wiedzę, żeby nie tylko potrafili sprostać wyzwaniom codzienności, które niesie m.in. gospodarka, czy zmieniająca się sytuacja polityczna – ale by także byli Ludźmi odpowiedniego formatu.

Absolwent uniwersytetu to ma być przede wszystkim Człowiek myślący, zdolny do indukowania pozytywnych zmian w swoim otoczeniu, ktoś, kogo tak trzeba uformować i wychować, by był wybitnym specjalistą, a jednocześnie by miał odpowiednią, nietuzinkową osobowość. Jednym ze sposobów budowy właśnie tego rodzaju sylwetek młodych inteligentów, kreowania tego rodzaju postaw społecznych, formowania tego rodzaju osobowości – jest właśnie wspólnota akademicka.

Odkąd istnieją uniwersytety mają one swoją wyraźnie zdefiniowaną tożsamość. Stanowią ją nie tyle budynki uniwersytetu, chociaż one także cieszą, gdy awangardowo nowoczesne, lub budzą szacunek, gdy są dostojnie zabytkowe. Tożsamość uniwersytetu to nie jego budżet, nie rozkład zajęć, nie hierarcha akademickiej władzy od rektora do asystenta – ale to przede wszystkim właśnie wspólnota; **wspólnota uczących się i nauczających**, a przede wszystkim wspólnota **poszukujących**. Dobry uniwersytet jest tak uformowany, iż niezależnie od tego czy jest się profesorem, czy asystentem, czy studentem – wspólnym dążeniem wszystkich członków akademickiej wspólnoty jest poszukiwanie **Prawdy**.

Można poszukiwać prawdy ucząc się jej od tych, którzy już się do niej nieco zbliżyli – taka jest rola studentów; można poszukiwać prawdy mając już dużą wiedzę i prowadząc badania naukowe, które tę wiedzę poszerzają – taka jest rola profesorów, ale trzeba zawsze zachować postawę nacechowaną pokorą, bo prawdy nie da się osiągnąć na własność, tylko można do niej zmierzać. To **dążenie** do prawdy jest jedno, niezależnie od

tego, jak wiele wiadomości i tytułów akademickich się osiągnęło. Ono właśnie stanowi o wartości uniwersytetu i ono jest fundamentem, na którym można i trzeba budować akademicką wspólnotę.

Twierdząc przy tym, że nie ma istotnej różnicy pomiędzy osobami dążącymi do prawdy, niezależnie od tego czy zajmują się naukami humanistycznymi, czy technicznymi, biologią, sztuką czy metafizyką ... Jeśli uprawiamy badania naukowe, jeśli stawiamy pytania i znajdujemy odpowiedzi, to zawsze szukamy jakiegoś fragmentu prawdy, zawsze próbujemy ją odkryć, a w momencie kiedy ją odkrywamy – to staramy się ją upowszechnić. I właśnie to się dzieje za sprawą i w nierozzerwalnej więzi ze **wspólnotą**, którą jest zbiorowość uczących się i nauczanych. Świadomość przytoczonych tu faktów jest bardzo silnie obecna we wszystkich wyższych uczelniach godnych tej nazwy, bez względu na to, jakiego rodzaju specjalistów ostatecznie kształcą.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Gdyby wspólnoty akademickie, prawdziwe konfraternie uczących się i nauczanych działały dobrze i funkcjonowały nienagannie – cały ten referat nie miałby sensu. Coś, co jest oczywiste, może być przedmiotem sprzeciwu albo admiracji, natomiast nie może być przedmiotem analitycznych dociekań. Niestety, jednak pomiędzy **teorią** (z którą wszyscy się zgadzają) głoszącą, że wspólnoty akademickie powinny być budowane i umacniane, a **praktyką**, polegającą na tym, że tych wspólnot wciąż jest za mało i są one za słabe – rysuje się pęknięcie, które bardzo chciałbym zniwelować.

Problem polega w dużej mierze na tym, że praktycznie w każdej znanej mi Wyższej Uczelni nie mamy do czynienia z jedną wspólnotą akademicką, lecz ze zbiorowością wspólnot, co więcej, te wspólnoty mają tendencje do zamykania się w swoim kręgu. Dają się wyraźnie oddzielić wspólnoty poszczególnych wydziałów, istnieje osobna wspólnota profesorów¹, jest też wspólnota studentów. Każda z tych wspólnot jest bardzo wyrazista, co przejawia się między innymi w tym, że jeśli interesy danej grupy są zagrożone, to potrafi się ona bardzo skutecznie zorganizować i skonsolidować, aby się bronić, a jej członkowie, na co dzień nie zawsze darzący się nawzajem sympatią, zwykle potrafią skutecznie okazać swą solidarność, jeśli tego wymaga interes zbiorowości. Członkowie każdej z wymienionych wspólnot potrafią razem pracować i razem się uczyć, a także razem się bawić, chociaż to ostatnie znacznie lepiej wychodzi studentom niż pracownikom. Studenci w ogóle tym się wyróżniają, że są swojej wspólnotie silniej zintegrowani; widać to zwłaszcza wtedy, kiedy zbiorowość studentów czegoś się domaga – potrafi wtedy także niezwykle skutecznie manifestować tą swoją solidarność.

Na brak wspólnot w uniwersytetach nie możemy więc narzekać, natomiast stajemy przed problemem, że oto istnieją oddzielne wspólnoty wydziałowe, a także wspólnoty studentów, doktorantów, asystentów czy profesorów – ale czy wszystkie te wspólnoty rzeczywiście formują jedną wielką wspólnotę akademicką?

Jestem przekonany, że odpowiedź na to pytanie generalnie jest twierdząca. Gdyby tak nie było, to byłaby zagrożona jedna z ważniejszych funkcji, jedna z ważniejszych ról, jakie wyższa szkoła winna odgrywać w społeczeństwie. Do erozji wspólnoty akademickiej nie powinno się dopuszczać, dlatego, że formowanie osobowości zarówno studentów, jak i pracowników, winno odbywać się we wspólnotie. Pozytywny wpływ dobrej wspólnoty przejawia się w tym, że tylko absolwent uczelni, w której taka wspólnota aktywnie funkcjonuje, ma prawo mienić się człowiekiem wykształconym. Co

więcej, tylko profesor z uczelni mającej silne i wyraziste poczucie wspólnoty może aspirować do miana prawdziwego uczonego. Wszystkim jest więc potrzebne silne oparcie się na wspólnotie akademickiej, ale takiej jednej, integrującej ponad podziałami, nie na tych wspólnotach wydziałowych albo kastowych, odseparowanych od siebie, hermetycznych, wsobnych. Pracując na wyższej uczelni, a zwłaszcza zarządzając wyższą uczelnią, powinno się więc dążyć do tego, by dochodziło do zbliżenia między poszczególnymi wspólnotami budującymi jedną wielką rodzinę akademicką. Trzeba dążyć do tego, by wzajemne przenikanie komplementarnych wspólnot budowało nową wartość – właśnie wielkiej wspólnoty akademickiej. Jest to zadaniem trudnym, niezbędnym jednak, jeśli uczelnia chce się prawidłowo wywiązać ze swej misji kształtowania i formowania intelektu przyszłego inteligenta. Jednak twierdząc, że warto włożyć ten wysiłek, aby z niesforemego i nie zawsze dobrze wyedukowanego maturzysty uformować takiego Człowieka, który w swoim środowisku będzie wzorem, a dla kolejnych ludzi źródłem inspiracji. Nie chodzi tu tylko o los tej konkretnej jednostki, absolwenta, który gdzieś tam będzie pracował i będzie poza wiedzą reprezentował bogatszy lub uboższy zbiór wyniesionych z uczelni wartości. Trzeba pamiętać, że każdy taki absolwent w kontaktach z innymi ludźmi będzie na wiele sposobów powielał swój wzorzec osobowy, więc jeśli będzie uformowany źle, to będzie niestety rozsądkiem złych zachowań i poglądów.

Zależy nam na tym, żeby uniwersytety rozsiewały w społeczeństwie nie tylko wiedzę fachową, ale także dobre wzory zachowań społecznych. Jeśli wiemy, że jakiś czynnik może psuć efekt pracy naukowej i dydaktycznej uniwersytetu, to oczywiście trzeba temu przeciwdziałać. Mamy ambicję funkcjonować w Zjednoczonej Europie na prawach partnerskich, chcemy partycypować w tym, co nazywa się społeczeństwem opartym na wiedzy, powinniśmy więc zadbać o to, żeby ci, którzy dzięki wyższej edukacji posiadają trochę więcej wiedzy mieli także uformowany kręgosłup moralny, aby mogli być dla społeczeństwa wzorem godnym naśladowania, a więc przenoszącym pewne wartości.

Tak wyglądają założenia. Jednak mogę powiedzieć z własnego doświadczenia, że to budowanie wspólnoty ponad formalnymi podziałami nie jest zadaniem łatwym. Wspomniałem już wcześniej o tendencji do zamykania się poszczególnych pod-wspólnot, będących składowymi wielkiej wspólnoty akademickiej, każda we własnym gronie. Sprzyja temu tradycyjny podział ról (na nauczających i nauczanych) oraz bariera wieku. Obie te granice trudno przezwyciężyć, bo niemożliwe jest ani odwrócenie tradycyjnej relacji nauczyciela i ucznia, ani pokonanie różnicy nieraz nawet kilku pokoleń. Katedra oddzielająca wykładowcę od audytorium stwarza bowiem trudny do pokonania dystans – jest to wszak bariera wiedzy, autorytetu, także praw i obowiązków, wyraźnie odmiennych po obu stronach tej granicy. Wszystko to nie sprzyja budowaniu wspólnoty ponad podziałami. Ale są jeszcze inne bariery, oparte głównie o relacje formalne, które także raczej dziela niż łączą, a których likwidowanie lub przynajmniej obniżanie może być ze wszech miar celowe. Moje doświadczenie w tym zakresie jest doświadczeniem praktyka, jestem bowiem najdłużej urzędującym rektorem w Polsce, a starając się budować w mojej uczelni wspólnotę akademicką ponad podziałami nie ograniczałem się tylko do przemyśleń teoretycznych.

Otóż twierdząc, że przełamywanie tych barier formalnych, które atomizują społeczność akademicką jest

możliwe, chociaż przychodzi z wielkim trudem. Działając konsekwentnie i wytrwale można jednak doprowadzić do tego, żeby przy zachowaniu pożądanego szacunku, jaki młodzież studencka winna mieć w stosunku do swoich nauczycieli, budować po obu stronach katedry poczucie przynależności do **jednej** wspólnoty. Z moich obserwacji wynika, że istnieją formy działań, które temu sprzyjają i takie, które nie sprzyjają.

Na pewno nie jest dobre spoufalanie się ze studentami, do czego miewają skłonność zwłaszcza młodzi asystenci, ale także i niektórzy przedstawiciele profesury (szczególnie w okresach poprzedzających wybory rektorskie lub dziekańskie, gdy walka o głosy elektoratu studenckiego bywa prowadzona metodami budzącymi u postronnych obserwatorów uczucie zażenowania). Takie spoufalanie rodzi zawsze dysonanse, które są szczególnie zauważalne dla młodzieży, jako że studenci są zawsze bardzo wyczuleni na szczerłość i źle znoszą wszelkie działania, mające znamiona mimowolnego lub zamierzonego **falszu**. Dlatego droga do wspólnoty w dobrym tego słowa znaczeniu raczej nie wiedzie przez tę bramę. Również nie jest dobrym zwyczajem ani dobrą metodą przełamywania barier stosowane niekiedy administracyjne włączanie studentów do różnych działań organizowanych (często właśnie wyłącznie w tym celu) przez pracowników naukowych. Przykładowo zmuszanie studentów do tego, żeby wzięli udział w takich czy innych imprezach naukowych, kulturalnych lub sportowych pospołu z pracownikami uczelni – bo to integruje, bo to zbliża, bo to buduje mosty, zazwyczaj nie jest skromnym w dobrą stronę. To są rzeczy formalne, a nie spontaniczne, w związku z tym zwykle bardzo mało skuteczne.

Podobnie jest jeżeli idzie o udział studentów w zarządzaniu uczelnią, np. poprzez ich reprezentacje w radach i senatach uczelni. Obserwacja wielu lat pokazuje, że jest rzeczą dobrą, iż takie reprezentacje istnieją i działają. Studenci **chcą** współrządzić uczelnią i zacięcie bronią tej swojej reprezentacji przy każdej próbie jej ograniczania. Po części wynika to z faktu, że studenci chcą mieć wpływ na kształt budżetu, a w szczególności na to, ile z pieniędzy będzie szło na **ich** interesujące rzeczy (na przykład na Juwenalia). Jednak ograniczanie motywacji działaczy studenckich wyłącznie do czynników materialnych byłoby nadmiernym uproszczeniem i to z pewnością nie jest cała prawda na temat tego złożonego zjawiska, jakim jest studencka samorządność. Można przyjąć za pewnik, że większość studentów udzielających się w ciałach zarządzających uczelnią czyni to z prawdziwego poczucia współodpowiedzialności za wspólne dobro, jakim jest ich uczenia. Jakikolwiek ograniczanie ich uprawnień w tym zakresie byłoby więc wysoce niewłaściwe. Ponadto jest rzeczą wysoce korzystną (z wychowawczego punktu widzenia!), by brać studencka mogła mieć pewność, że jest podmiotem, a nie przedmiotem podejmowanych na uczelni działań. Tak więc cieszyć się należy z tego, że studenci chcą i mogą mieć udział w zarządzaniu uczelnią, w wyborach rektora czy dziekana, w zarządzaniu akademikiem czy klubem.

Natomiast rozważając to zjawisko z punktu widzenia interesującego nas tutaj procesu budowania zintegrowanej wspólnoty ogólnouczelnianej stwierdzamy po raz kolejny, że znowu nie tędy droga. Prawda jest taka, że studenci we wszystkich tych formalnych ciałach raczej się nie integrują z pracownikami, ale przeciwnie: podtrzymują i podkreślają swoją odrębność. Prawie nigdy na posiedzeniach senatu uczelni czy też w różnych radach (wydziału, instytutu, miasteczka studenckiego)

nie dochodzi do prawdziwej współpracy pracowników i studentów, więc fakt partycypowania przez studentów w zarządzaniu uczelnią jest bez wątpienia korzystny z innych punktów widzenia, ale nie przyczynia się do budowania prawdziwego poczucia wspólnoty. Można by było wiele mówić o przejawach tej prawidłowości, ale wystarczy skupić się na obserwacji, że na przykład w senacie grupa studentów zawsze jest zgrupowana w jednym miejscu, obok, ale nie **razem** z pracownikami naukowymi. Można to też zauważyć na podstawie ich udziału w dyskusji o ważnych dla uczelni sprawach. Grupa reprezentantów studenckich zawsze jest skoncentrowana wyłącznie na jakichś pojedynczych punktach, które dotyczą spraw aktualnie ich interesujących, co do których oni się zobowiązali przed kolegami, że będą w określony sposób głosować itp. Natomiast często zupełnie fundamentalne sprawy, bardzo istotne dla całej społeczności akademickiej, w zasadzie przechodzą w studenckiej części sali senackiej zupełnie bez echa.

Stąd wypływa niezbyt optymistyczny wniosek: próba tworzenia wspólnoty akademickiej poprzez inkorporowanie studentów do tych ciał, w których z definicji, z zasady, i z obowiązku zasiadają przede wszystkim profesorowie jest oczywiście potrzebna, ale zdecydowanie nie jest wystarczająca.

Być może nie wszyscy zgodzą się z moją kolejną obserwacją, ale na podstawie własnego doświadczenia stwierdzam, że zdecydowanie nie jest rzeczą skuteczną (dla formowania więzi i budowania wspólnoty) pojawianie się profesury na imprezach studenckich. Studenci są elegancy i zawsze zaproszą rektora albo dziekana na rajd czy na majówkę (zwłaszcza jeżeli z nim przyjedzie beczka piwa...). Profesorowie bywają zapraszani również na różnego rodzaju koncerty i imprezy, które się odbywają w klubach studenckich. To są niewątpliwie miłe rzeczy, ale jeśli się bystro obserwuje przebieg takiego spotkania, to łatwo jest ujawnić fakt, że zaproszony VIP ma zwykle styczność z małą warstwą wyspecjalizowanych działaczy, a reszta studentów bawi się u siebie, ze sobą i bez żadnych prób integrowania się z zaproszonymi gośćmi, więc chociaż takie spotkania są sympatyczne i pożyteczne, to jednak śmiem twierdzić, że prawdziwa wspólnota akademicka jakoś tam nie funkcjonuje.

Natomiast zaobserwowałem miejsca i okoliczności, w których ta wspólnota buduje się autentycznie, i w których wartość niesiona przez tą wspólnotę może być szczególnie wartościowym elementem dla jednych i dla drugich. Chodzi o koła naukowe, a także wszelkie inne grupy zbierające się z powodu wspólnych zainteresowań. Dla nauczycieli jest to źródło inspiracji, a dla studentów jest to źródło dodatkowych kwalifikacji i wiedzy, także w tym wymiarze ogólnej mądrości, której nie da się nauczyć na sali wykładowej. Podczas zebrań koła naukowego ludzie się spotykają, bo łączy ich fascynacja jakimś problemem, bo chcą razem docierać do jakiejś prawdy, bo jednoczy ich cel, a nie forma, zaś cel ten jest w nich, a nie na zewnątrz. To naprawdę działa. Takie budowanie wspólnoty wokół czegoś, co zarówno profesorowie, jak i studenci mogą wspólnie uznać za ważne i godne wysiłku **jest** skuteczne. Nie chciałbym tu ograniczać tego pozytywnego wzorca działania do samych tylko kół naukowych, to może równie dobrze dotyczyć tematyki sportowej, czy płaszczyzny kulturalnej, folkloru, czy specjalnego rodzaju muzyki, czy specjalnego typu malarstwa. Prawdziwe i niewymuszone więzi można także budować podczas zebrań np. filatelistów, miłośników przyrody czy zwolenników filmów fantastyczno-

-naukowych. Nieważna jest treść, ważne jest, że ludzie jednocy wspólna pasja!

To jest formuła, w którą ja osobiście wierzę. Byłbym skłonny ją polecać i propagować, zwłaszcza jako formułę budowania wspólnoty bez nazywania tego po imieniu. Chodzi mianowicie o to, że w kołach naukowych, a także w innych kołach ukierunkowanych na określony **merytoryczny** cel, koncentrując wspólnie uwagę opiekunów i studentów właśnie na tym celu – można skutecznie usunąć z pola widzenia bariery formalne i hierarchiczne, które zwykle są przeszkodą w docieraniu do prawdziwego poczucia wspólnoty. Jeśli na tym celu skoncentrują uwagę profesorowie, którzy w tym wypadku występują jako starsi koledzy pomagający w rozstrzygnięciu lub podejmowaniu problemów naukowych (czy dowolnych innych, byle autentycznych, zgodnie z zarysowanymi wyżej uwagami), oraz studenci – to nawiązane zostaną nici porozumienia, które potem będą funkcjonowały jako osnowa budowanej wspólnoty. Cel może polegać na wspólnym poszukiwaniu najciekawszych wyników badawczych, które potem można z sukcesem przenieść na sesję naukową i zdobyć jakąś nagrodę, ale może też polegać na wspólnym poszukiwaniu rzadkiego okazu do kolekcji monet. To, jaki jest cel, ma bowiem drugorzędne znaczenie – ważne jest, iż jest to cel **wspólny**, a ta wspólnota jest w tym wypadku autentyczna i spontaniczna, a nie wymuszona administracyjnie czy wydumana teoretycznie. Uważam, że ci prowadzący, pracownicy naukowemu opiekujący się kołami naukowymi, czy innymi formami działalności studenckiej oraz ci studenci, którzy dobrowolnie bez przymusu czy nakazu przychodzą i uczestniczą w pewnych zajęciach, ofiarują swój czas, swój wysiłek i swoją pracę, bo po prostu są zafascynowani jakimś tematem – są najwartościowszymi budowniczymi autentycznej wspólnoty akademickiej. Źródłem ich sukcesu jest podejście teleologiczne, ukierunkowane na ten cel. Celem tym może, ale nie musi, być poznanie jakiegoś fragmentu nauki, wspólne prowadzenie badań, wspólne roztrząsanie zagadnień merytorycznych. Ważne jest tylko to, by skupiać się na takich celach, które nie wchodzą rutynowo w działalność akademicką. Poczucie swobody i radości wspólnego pokonywania trudności powoduje, że po obydwu stronach barykady tracimy przez chwilę z pola widzenia takie formalnie zadekretowane, powie-działbym programowe, założenia „tworzenia wspólnoty, bo tak trzeba”, więc ona się tworzy wtedy w sposób automatyczny i autentyczny, a to przynosi naprawdę dobre efekty. To działa. Obserwowałem w wielu wypadkach, że prawdziwe poczucie wspólnoty można łatwiej i skuteczniej zbudować wokół celu, niż wokół założenia: „no to teraz się integrujemy!”. Jeśli będziemy się zmuszać do tego, by być razem i było nam z tym dobrze – to zwykle będziemy to robić nieskutecznie. Wierzę przeto, że w dobrych uczelniach powinno się dążyć do tego, aby poszerzać i pogłębiać obszar tych nieformalnych, ale ukierunkowanych na dobrze nazwane cele szczególne, kontaktów pomiędzy wspólnotą nauczających a wspólnotą studentów. Oni wtedy spotykając się wokół problemu, a nie tylko dla celebrowania spotkania jako celu samego w sobie, są w stanie sobie o wiele więcej przekazać, zwłaszcza w zakresie komunikacji niewerbalnej, prezentacji wzorców osobowych, przenikania systemów wartości, budowania autentycznych sympatii. W sferze wartości to jest skuteczniejsze, niż jakiegokolwiek działania formalne.

Jak wszyscy wiemy, działalność wychowawcza w obszarze szkolnictwa wyższego jest niesłychanie trudna, głównie dlatego, że studenci są niezwykle wymagający i niezwykle, powiedziałbym, krytyczni jeżeli idzie o jakie-

kolwiek próby indoktrynacji. Dlatego każda próba uwarunkowywania studentów poprzez mówienie im, że to czynić należy, a tamtego nie należy, jest dramatycznie nieskuteczna, bo oni to momentalnie odrzucają. Odbywa się to wręcz odruchowo, na zasadzie spontanicznego i naturalnego buntu, jaki zawsze cechował młode pokolenie w stosunku do pokolenia ludzi dojrzałych, dorosłych, ustabilizowanych. Patrząc na moich studentów zawsze myślę sobie, że oni mają prawo do tego buntu, bo jest on elementem formowania ich osobowości, intelektu. Bez buntu i bez próby zbudowania świata na nowo nie ma możliwości kształtowania się ludzi mających status inteligenta, który nie powinien być wyłącznie pochodną wyższego wykształcenia. Ale ten bunt oczywiście nie sprzyja transmisji wartości, nawet takich, które jedna i druga strona, po odrobinie refleksji, byłaby skłonna w sposób niekwestionowany zaakceptować. Tak więc konsensus będący warunkiem integracji i wspólnego budowania wspólnoty można osiągnąć jedynie poprzez wzajemne bliższe poznanie się i przełamanie barier, a to najłatwiej jest osiągnąć poprzez wspólną pracę nad jakimś zadaniem, na przykład nad rozwiązaniem problemu naukowego albo nad zbudowaniem zwycięskiego zespołu sportowego albo nad uzyskaniem najlepszego przedstawienia teatru amatorskiego. Zadania w ogólnym przypadku mogą być różne, ale spełnią one swoje zadanie, jeśli skupią aktywność grupy studentów i pracowników wokół jakiegoś celu, który pozornie jest celem zewnętrznym, ale który porządkuje i organizuje działania w grupie tak, by pojawił się efekt wzajemnego zrozumienia i synergii.

O tym, jak ważne skutki może wywołać taki zewnętrzny czynnik porządkujący „wektory” orientujące działania poszczególnych ludzi, można się przekonać odwołując się do analogii z dziedziny fizyki (niech mi fizycy wybaczą zastosowane uproszczenia!). Otóż każdy kawałek żelaza składa się z cząsteczek, wielkiej liczby cząsteczek (albo ich grup, zwanych domenami), będących maleńkimi magnesami. Jednak w zwykłym kawałku żelaza każdy z tych miniaturowych magnesów jest ukierunkowany w inną stronę, w wyniku czego cały kawałek żelaza magnetyzmu nie wykazuje. Wystarczy jednak, że zadziała silne zewnętrzne pole magnetyczne, a wszystkie te maleńkie magnesy ustawiają się zgodnie i cały kawałek żelaza stanie się magnesem, w wyniku czego będzie zdolny do rzeczy, których poprzednio robić nie potrafił – na przykład będzie mógł wskazywać drogę zbłąkanym żeglarzom. Co więcej, namagnesowany kawałek żelaza zachowuje swoje właściwości magnetyczne również po zniknięciu zewnętrznego pola magnetycznego, gdyż ma szansę stać się tak zwanym magnesem trwałym.

Tak samo w zbiorowości ludzi – dopóki nie pojawi się zewnętrzny cel, skłaniający ich do uzgodnionych, jednokierunkowych działań, każdy z nich orientuje swój wektor dążeń według własnych preferencji, co powoduje, że zbiorowość tych ludzi nie prezentuje żadnych wspólnych cech i w tym sensie nie może być rozpatrywana jako wspólnota. Dobrowolnie przyjęty cel porządkuje te indywidualne kierunki, a w rezultacie zbiorowość zaczyna działać w sposób zgodny. Porządkującemu czynnikowi poddają się nauczający, w tym wypadku występujący jako opiekunowie tej działalności młodzieży, która czymś się tam fascynuje i dobrowolnie przychodzi chcąc się właśnie tym czymś zajmować oraz właśnie ci młodzi ludzie, którzy poświęcają swój czas i wyrzekają się innych rozrywek, bowiem chcą coś osiągnąć.

Jak już wspominałem, z punktu widzenia nadrzędnej wartości, jaką w tej pracy jest budowanie wspólnoty uczelnianej, nie jest ważne, jaki będzie ten konkretny cel, do którego wszyscy dążą. W istocie ważne jest tylko

to, że wszyscy, profesorowie i studenci, dążą do tego celu wspólnie, że działają razem i że dzięki temu są w stanie wzajemnie się inspirować.

Warto zwrócić uwagę na ten czynnik **wzajemności**. Inspirująca rola opiekuna (koła naukowego, klubu wspólnych zainteresowań, grupy artystycznej itp.) w stosunku do studentów nie ulega dla nikogo żadnej wątpliwości. Rzadziej jednak dostrzega się (i docenia) funkcjonowanie inspiracji w drugą stronę. A tymczasem studenci, jeśli im tylko na to pozwolić, są w stanie bardzo znacząco wpływać na pracowników naukowych. Obserwowałem w wielu przypadkach, że moi młodszy koledzy, zwłaszcza tacy, za których rozwój naukowy byłem osobiście odpowiedzialny, bardzo dojrzewali naukowo w momencie, kiedy mieli kontakt ze studentami. Ważne było jednak, żeby był to kontakt autentyczny i swobodny, realizowany nie tylko przez te wszystkie sformalizowane obowiązkowe zajęcia typu wykłady, ćwiczenia, laboratoria. Prawdziwie inspirujący, ożywczo oryginalny i twórczy jest kontakt swobodny, realizowany między innymi w kołach naukowych. Na tych wszystkich obowiązkowych, sformalizowanych zajęciach, istnieje ściśle zdefiniowany podział ról i istnieje sztywno zapisany program nauczania, który z punktu widzenia prowadzącego zajęcia oraz z punktu widzenia studentów jest im narzucony. Zarówno prowadzący, jak i student są w efekcie wpisani w sztywny układ, determinowany przez jakieś tam regulaminy i minima programowe. Ten fakt właściwie obezwładnia obie strony procesu edukacyjnego, nie daje możliwości ekspresji własnej osobowości albo przynajmniej umożliwia to w bardzo niewielkim zakresie.

Lecz tam, gdzie cel nauczających i nauczanych wyznaczony jest przez ich własne fascynacje, przez zaciekawienie i chęć zdobycia wiedzy dla niej samej, następuje ta osmoza, to wzajemne przenikanie, to zbliżanie, w najlepszym tego słowa znaczeniu, profesorów i studentów. To właśnie w takich warunkach dochodzi do takiego modelu współpracy, który przewyższa bariery i przyczynia się do rzeczywistego tworzenia wspólnoty. Wspólne działanie dyktowane przez wspólne fascynacje bywa załącznikiem wspaniałych przyjaźni, wieloletniej współpracy, wzajemnego zaufania. Tacy ludzie, którzy aktywnie działali w kołach naukowych, jeśli nie pozostają w macierzystej katedrze w charakterze naukowców, to i tak nie tracą z nią kontaktu, lecz wielokrotnie powracają z przemysłu na uczelnię, albo doksztalając się na studiach podyplomowych, albo wspólnie ze swoimi byłymi profesorami rozwiązując metodami naukowymi problemy, które są im potrzebne w ich codziennej pracy na rzecz gospodarki narodowej i przemysłu. Dla byłych aktywistów kół naukowych, dla byłych członków uczelnianej wspólnoty, taki powrót po latach do macierzystej uczelni po nową, zaktualizowaną wiedzę, jest to coś najbardziej oczywistego i najbardziej naturalnego, bo oni przecież nauczyli się partnerskiego współdziałania ze swymi nauczycielami właśnie w takiej formie.

Być może moja wizja kół naukowych (i innych kół zainteresowań), jako tego podglebia, na którym może zakwitnąć prawdziwa wspólnota akademicka, wyda się niektórym z państwa nadmiernie wyidealizowana. Być może ktoś z Czytelników przywoła przykłady kół naukowych, których działalność jest nieautentyczna, pozorowana. Owszem, bywają i takie. Ja jednak chcę wyraźnie podkreślić: lepszemu modelowi nie znam. Wiem też z doświadczenia, że wspólnoty akademickiej nie buduje się poprzez wystawianie do programu władz rektorskich czy dziekańskich hasła: no to od przyszłego semestru budujemy wspólnotę. Wspólnoty w ogóle się nie buduje, ona formuje się sama poprzez autentyczną współbież-

ność celów, dzielenie pewnych fascynacji, przenikanie się idei. Do wspólnoty trzeba zachęcać przede wszystkim poprzez przykład, a nie przez werbalną indoktrynację. Tylko tak można wpłynąć na postawę młodych ludzi, na ich poglądy i na ich system wartości. Tylko pracując z nimi ramię w ramię można do nich skutecznie dotrzeć z pewnymi prawdami i przekazać je im w sytuacji, w której oni to przyjmą jako coś naturalnego, bo to nie będzie werbalne eksponowanie jakichś abstrakcyjnie definiowanych wartości, tylko jest to wywoływanie sytuacji, w których wartości te powstają w sposób całkowicie spontaniczny i naturalny.

Jeśli zależy nam na budowaniu autentycznej wspólnoty uczących się i nauczających, trzeba jak ognia unikać w kontaktach ze studentami mentorstwa w stylu: „ja wam powiem, jak to jest naprawdę, dlatego, że to ja jestem mądrzejszy”. Tą metodą można doprowadzić do tego, że studenci przyniosą na egzamin garść wyuczonych na pamięć frazesów, o których szybko zapomną, gdy tylko zamkną indeks z pozytywną oceną, niepodobna natomiast wszczepić im tą metodą żadnych trwale akceptowanych wartości. Drogą do skutecznego budowania wartości jest wspólne obserwowanie przesłanek, wspólne wyciąganie wniosków, wspólne dochodzenie do akceptowalnych racji, do których zwykle dociera się przez merytoryczny, chociaż nacechowany wzajemną życzliwością spór, a nie przez ślepa afirmację „jedynie słusznej prawdy”. Przy partnerskim budowaniu wspólnoty akademickiej bardzo ważny jest właśnie ten, nacechowany życzliwością, ale krytyczny styl myślenia. Konieczna jest także rzetelność, powaga w podchodzeniu do rozważanych zagadnień, ale także i traktowanie procesu zdobywania wiedzy jako pewnej radosnej przygody, a nie pełnego udręki mozółu. Jako badacze, jako naukowcy, musimy pokazać naszym uczniom, jak ogromna jest przyjemność i satysfakcja w momencie, kiedy się odkrywa coś nowego, kiedy ma się tę świadomość, że jest się pierwszym człowiekiem na świecie, który to **wie**. Każdy badacz, który tego zaznał, nigdy nie zapomni tego wrażenia: wiem, że niebawem napiszę jakieś publikacje i to moje odkrycie stanie się własnością wszystkich, ale w tym krótkim momencie – to ja mam ten kawałek prawdy na moją wyłączną własność. To jest coś fantastycznego, wspaniałego, a dzielenie tego uczucia z młodymi ludźmi, pokazywanie im, jak bardzo radosne jest odkrywanie, stykanie się z granicą znanego i nieznanego, jest naprawdę wielkim wyzwaniem. Dla dobrego nauczyciela akademickiego jest ogromnie frapujące i niezwykle ważne, a jest wręcz niezastąpione, jeśli ma właśnie służyć budowie wspólnoty.

*Ryszard Tadeusiewicz**

¹ Tu i w innych miejscach referatu mówiąc o „profesorach” mam na myśli ogół nauczycieli akademickich, nie odróżniając tych, którzy noszą tytuł naukowy, od tych, którzy pełnią rolę asystentów czy adiunktów.

* Autor jest prof. zwyczaj., rektorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, kierownikiem Katedry Automatyki tej uczelni, członkiem PAN i PAU, członkiem Europejskiej Akademii Nauk, Sztuki i Literatury (Paryż). Powyższy tekst jest wykładem, który wygłosił podczas uroczystości nadania mu godności doktora *honoris causa* Uniwersytetu Zielonogórskiego 7 czerwca w uniwersyteckiej auli.